



Krzysztof Kasprzyk

Sygnatura notacji: **N0608**

Data urodzenia: **10.09.1946 r.**

Data nagrania: **29.05.2009 r.**

Miejsce nagrania: **Konsulat Generalny RP, Toronto, Kanada**

Prowadząca/y rozmowę: **Zofia Kunert, Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **36 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Krzysztof Kasprzyk: Ja w szkole którejś będąc, drugiej chyba z kolei, poznałem bibliotekarkę, która mi się przedstawiła i mówi: „Orłowska”. Ja mówię: „Słucham? Polka?”. No dobrze. Aleksandra Orłowska. Ja mówię: „Słuchaj, moja mama też Orłowska”. „No tak, ja po ojcu Orłowska”. Żadnego związku. Ale ona mnie zaprasza do siebie do domu i poznaje mnie ze swoją matką. Jej matka mówi: „No i ja w czasie wojny siedziałam w Oberlangen”. Ja zdębiałem. I mówi: „Właśnie dostałam książkę wydaną o tym”. Ja mówię: „Proszę dać mi tę książkę”. Szukam, szukam, patrzę - jest moja matka, nazwisko i tak dalej. I mówi: „Tu Orłowska też”. Jak to się niesamowicie... Jak tu wyskakiwały w tej Kanadzie echa jakby z dawnych czasów. Ja na przykład mam coś, co zamierzam przekazać do Muzeum Powstania Warszawskiego, bo jak rozmawiałem z Normanem Daviesem tutaj właśnie w konsulacie, mu to pokazałem, to on mówi: „O rany!”. Ja nie wiem, to moja babcia, która była cudowną osobą, jak ona to zrobiła? Cztery spalone domy w czasie wojny. Nie dość, że mam zdjęcia stare rodzinne, to coś co odkryłem potem, w jej dokumentach, po jej śmierci, jest napisany na maszynie rozkaz dla Powstania Warszawskiego, dla mojej mamy podpisany przez pułkownika „Żywiciela”. Ze stemplem, z podpisami. Davies mówi: „To niech pan odda do... bo tego nie ma! Bo tyle rzeczy spłonęło, mało kto to ma, niech pan to odda”. Tak że chcę to zrobić, bo to jest pamiątka historyczna. Tak że takie rzeczy przypadkowe się trafiają zupełnie.

Zofia Kunert: A teraz często pan jeździ do Polski?

Krzysztof Kasprzyk: Co roku. Co roku. Jest to taki obowiązek odwiedzenia rodziny przede wszystkim, odwiedzenia przyjaciół, no i odwiedzenia Sopotu. Nie ma takiego roku, żeby nie był w Sopocie. Zawsze muszę tam

być, posiedzieć trochę. Też mi się tak otworzyła paradoksalnie nowa możliwość, że teraz mogę prosić o Dom Pracy Twórczej ZAiKS-u w Sopocie. No, bo nie mam mieszkania w Sopocie. Znaczą, mam mieszkanie, kawalarkę, w której mieszka moja macocha. Jest to jeden pokój z łazienką i kuchnią, więc niech tam sobie siedzi, ja tam się po prostu nie pomieszczę, jak pojedę. Tak że, to rozwiązanie jest właśnie tym ZAiKS-em, czekam właśnie w tej chwili na decyzję. Tak jak mówię, plus jeszcze nadrabiam to, co straciłem za czasów komuny, kiedy siedziałem w tym wielkim, jak to się mówiło, najpiękniejszy spacerniak w Europie, PRL. Czy najweselszy barak w obozie. Wyjechałem raz w 1973 roku, udało mi się do Londynu pojechać. Zresztą, a propos, może jeszcze to powiem, bo to jest ciekawa rzecz. W 1973 roku pojechałem do Londynu, to był mój pierwszy wyjazd z Polski, od czasu jak w 1947 roku przyjechaliśmy. I dobiłem do tego Londynu. Autostopem jechałem, od granicy Wschodnich Niemiec i Zachodnich Niemiec. I któregoś dnia, ojciec mnie prosił, mówi: „Słuchaj jak tam będziesz...”, bo wiedział, że ja jadę, „...to zajdź tam do, tam jest jakiś klub lotnika, coś takiego, może mają jakieś tam papiery o mnie czy coś takiego”. Ja zaszedłem tam. Pusto. Jakiś tam taki, bardzo starszy pan, który mówił ja nic nie wiem, nie wiem gdzie są papiery, i tak dalej, jest okres wakacji, wszystko pozamykane, niech pan przyjdzie we wrześniu. Ja mówię, we wrześniu to ja już muszę być z powrotem w tym miejscu. I rozmowie przysłuchiwał się pan siedzący z boku, starszy pan. I jak ja wyszedłem stamtąd, to poszedłem na dół, tam bar był i poszedłem sobie do baru coś sobie zamówić do picia. I ten starszy pan do mnie podszedł i mówi po polsku, ale takim dziwnym akcentem. Mówi: „Proszę pana, ja słyszałem, że pan rozmawiał, że pan pytał się, mnie się mgławicowo pana ojciec przypomina, ja się nazywam Scott”. Ja sobie myślę: „Scott?”. I mówi: „Zapraszam pana na drinka”. Okej, siedliśmy przy barze, zamówił drinka. Był z nim wnuczek. I on mówi do mnie: „Wie pan, bo ja byłem oficerem łącznikowym z ramienia armii angielskiej przy polskich dywizjonach. Bo ja nie jestem Polakiem, ja jestem Szkotem. Mój pradziadek przyjechał do Polski, bo był poszukiwaczem ropy naftowej. Wylądował gdzieś tam Krosno, Jasło, te okolice. Ożenił się z Polką. I jak potem był starszym człowiekiem, to powiedział do swoich synów: »Tylko z Polkami macie się żenić, żeby wam do głowy nic innego nie strzeliło, tylko z Polkami«...”. I ten pan Scott mówi: „I tak się stało”. Mój brat, ożenił się w Warszawie, przed 1939 rokiem, przepraszam po 1945 roku, nie w Warszawie, ale w Anglii Polkę znalazł. On również. Jak oni uciekli z Polski, to wylądowali w Anglii, to jak osiągnęli 18 lat, czy więcej, to zgłosili się do wojska. I powiedzieli, że z bratem przyszli, że chcą do polskiego wojska. Jak to do polskiego wojska powiedzieli ci Anglicy do nich: „Jak to? Wy? Tu? Obywatele brytyjscy do polskiego wojska? Dlaczego?”. „No, bo jak się ma te naszywki „Poland”, to wszystkie dziewczyny latają za tym” - powiedzieli. No i jakoś tak udobruchali ich, powiedzieli: „dobrze”, jego brat został oficerem łącznikowym przy marynarce, a on przy lotnictwie. I on mi tę historię opowiedział. Spędziliśmy chyba z półtorej godziny w tym barze. I on na koniec mówi tak: „Wie pan co? Niech pan jedzie ze mną do Kanady, ja panu wszystko załatwię, od razu, od ręki”. „Pójdziemy jutro do ambasady kanadyjskiej”. Ja się przestraszyłem. Ja się przeraziłem wręcz. Jak to, nagle ja? Tu z tego kraju, gdzie tak trzeba siedzieć i pracować dla tego kraju, żeby się żyło dostatnie? Nagle taka propozycja. I splotzony mówię, że nie no, to tak na mnie spada, to niemożliwe i tak dalej. Paradoks polega na tym, że jak ja tu przyjechałem do tej Kanady, słyszałem o tym człowieku, widziałem go w telewizji jak występował tutaj cztery, czy pięć lat temu. Opowiadał właśnie... a może nawet więcej to było, z okazji którejś tam okrągłej rocznicy zakończenia drugiej wojny. Wreszcie telewizja kanadyjska zaczęła pokazywać polskich pilotów i mówić o nich. I on tam właśnie opowiadał i mówił, o tym że to wspaniali ludzie, z fantazją i w ogóle, i to. Pomyślałem, jak to w życiu, znowu to kółko, tam wtedy w tym Londynie, ten człowiek. Wszyscy go tu znają. Jak tylko powiedziałem „Scott”, wszyscy go znają. Nawet nie wiem, czy on jeszcze żyje, czy nie. W Montrealu byłem raz w życiu, to jest jednak odległość. Tak to, tak to się plecie nieraz.

Zofia Kunert: A jak przyjeżdża pan do Polski, spotyka się pan z kompozytorem melodii, panem Pietrzykiem?

Krzysztof Kasprzyk: Tak, z Maćkiem się spotykamy. Nie zawsze. Bo on ma problemy zdrowotne w ostatnich latach. Ale jesteśmy w kontakcie. On nawet ostatnio, ale nie wiem czy w dalszym ciągu, on był szefem tego związku aktorów i... ZASP to się nazywa?

Zofia Kunert: ZASP, jest coś takiego.

Krzysztof Kasprzyk: Tak, to był nawet szefem tego chyba, dwa albo trzy lata temu, jak ja przyjechałem. Spotkaliśmy się w słynnym miejscu w Warszawie, czyli w tej kawiarni i restauracji słynnej, gdzie kiedyś brylowali Piwowscy, Głowaccy, Himilsbach i inni. Zresztą, których poznałem w Warszawie jak byłem na studiach, bo akurat ich zapraszałem na spotkania do studiów, do tego instytutu dziennikarstwa. Tak że, to są tego typu kontakty. Ale głównie to są kontakty rodzinne, jak ja przyjeżdżam. Plus jeszcze też odrabiam zaległości nieznamości Polski. Zrobiłem sobie na przykład w jednym roku ścianę zachodnią, tak zwaną, z córką właśnie i jej mężem. Jeszcze wtedy byli bez dzieci. Objechaliśmy granicę czeską, czyli Sudety i tak dalej. A potem sam zrobiłem ścianę wschodnią, tak zwaną, włącznie z Puszcą Białowieską i odwiedzeniem Wajraka w tej Puszczy, gdzie go bardzo zaskoczyłem nagle pojawiając się w progu. No i to bardzo dobrze, że pojechałem, bo byłem zbudowany jaki skok nastąpił. Aha, jeszcze jedna ważna rzecz, bo to jest ważne. Jak przyjeżdżam, ja przyjeżdżam z pewnego dystansu, więc za każdym razem widzę, ile poszło kawałek do przodu. I często jak rozmawiam z ludźmi, to odkrywam, że ludzie tego nie widzą, będąc tam na co dzień. Plus jeszcze nasze polskie narzekanie zawsze się odzywa i te wszystkie rzeczy. Więc, jest to naprawdę ogromna różnica, jak się przyjeżdża. Niekoniecznie w tym, że się zrównało ze sklepami wielkimi i tak dalej, ale jak porównuje styl budowy w Kanadzie domów a w Polsce, to jest kompletna różnica, kompletna różnica. Po prostu jest na korzyść Polski, jest to ładniejsze architektonicznie. Co zauważam w ostatnich latach, że ludzie bardzo zajmują się teraz swoimi rzeczami dookoła, porządkują, czyszczą i tak dalej. Zaczyna to wchodzić w nawyk, w krew, co bardzo dobrze. Bo było wręcz odwrotnie przedtem. Tak że to też musi pewien czas upłynąć, żeby się po prostu ludzie do tego przyzwyczaili i nauczyli. I to mnie uderza. Stąd, jakby z perspektywy, pewne rzeczy widzi się ostrzej. To zdecydowanie. Dlatego na przykład pewne klótnie, które są tam na poziomie politycznym czy innym, widzi się. Czasami ma się żenujące uczucie, że tak jest właśnie akurat. Że tak daleko zaszło. Że to nie są adwersarze, ale wrogowie, a to już jest różnica, to już jest różnica. Bo jak przyglądam się na przykład dyskusjom w parlamencie kanadyjskim, też są nieraz ostre, ale nawet jak jest na przykład przed wyborami, jak kandydaci są różni, to jest kapitalna rzecz, bo kamera zostaje dłużej potem, jak już się kończy to i widać, jak oni ze sobą rozmawiają, jak oni są blisko, jak oni po prostu odbyli pewien ceremoniał polityczny, który taki jest. Bo na tym polega w demokracji, żeby każdy przedstawił swój punkt widzenia. I to jest to, co mnie uderza.

Zofia Kunert: Ale nie skaczą sobie do oczu.

Krzysztof Kasprzyk: Nie skaczą do oczu, nie ma takich chwytów poniżej pasa, że tak powiem. Nie ma takiej zaciekłości, która mnie razi, jak przyjeżdża, która mnie razi.

Zofia Kunert: Właśnie to miało być moje pytanie, prawie na zakończenie.

Krzysztof Kasprzyk: Tak?

Zofia Kunert: Właśnie jak pan widzi upadek tej legendy Solidarności?

Krzysztof Kasprzyk: Na pewno mogę powiedzieć, że na przykład nie podoba mi się szarpanie Wałęsy w ten sposób, jak jest szarpany za tamte rzeczy. To jest szczególnie ważne w przypadku teraz nowego pokolenia, które nie zna tamtych czasów. Zresztą ta sama historia wystąpiła z Kapuścińskim. Jakby trzeba rozumieć pewnego typu uwikłanie, które było. To jest jeden punkt widzenia. Druga rzecz, która mnie uderzyła i której nie lubię i która istnieje tutaj na przykład w Toronto, w środowisku polonijnym. Nagle zrobił się potworny tłum kombatantów. Nagle okazuje się, że wszyscy walczyli. Najcudowniej skwitował to mój uczeń w szkole polskiej, bo ja jeszcze uczę w szkole polskiej przy konsulacie od 11 lat. Z liceum chłopak. Rozmawialiśmy o tym, o współczesnej historii Polski. I ten uczeń mówi: „Proszę pana, ja nie rozumiem jednej rzeczy, ja od moich rodziców słyszę, ja słyszę od różnych ludzi dookoła, że wszyscy walczyli”. „To dlaczego to tak długo trwało?”. I to było mądre pytanie 16-letniego czy 15-letniego człowieka. Gdzie mu podziękowałem za to pytanie. Ja mówię, ja też się pytam siebie, dlaczego to tak długo trwało. To jest druga rzecz, która mnie razi.

Zofia Kunert: Ale mówi pan o kombatantach Solidarności?

Krzysztof Kasprzyk: Nie tylko, ludzi podszywających się pod Solidarność, tak sobie to powiedzmy. W ten sposób.

Zofia Kunert: Rozumiem, tylko chodzi o to...

Krzysztof Kasprzyk: Ja działałem, ja robiłem w tamtym czasie i tak dalej. Ale nie oszukujmy się, była opozycja, była ta mała opozycja, która zaczęła. Potem był ten masowy ruch, gdzie ludzie przystąpili, bo to był ten oddech, ulga, to zachłyśnięcie się wolnością. Potem przyszło uderzenie w łeb i to jest wiadomo, jak w tym momencie jest. Większość tych zer odpada, ta jedynka zostaje z jednym zerem, albo z dwoma zerami czy z trzema. A ta cała reszta, która była idąca w miliony odpada. Bo takie są prawa życia. Ludzie są konformistami. Nie oszukujmy się, w każdym kraju tak jest. Więc tak to widzę. I uważam na przykład, że ten okres od roku 1976, jak KOR powstał i potem jak ta opozycja rosła, gdzie szczytem tego wszystkiego był sierpień 1980 roku, gdzie osobiście... ponieważ przeszedłem przez marzec 1968 roku, przeszedłem przez czerwiec 1976 roku. Nie w jakiś sposób bardzo aktywny, ale byłem aktywnym świadkiem wydarzeń. O, w ten sposób. Aha, ja przeszedłem przez jeszcze jedną ważną rzecz, ale to powiem za chwilę. Wtedy, od razu wyczułem, jak wszedłem do stoczni, że to już się nie da rozdzielić. Że nie da rady już manipulować, tak jak przedtem, ludźmi i rozdzielać. Także ten okres, do powiedzmy stanu wojennego, uważam że jest tak ważny, i tak cenny, i tak dobry, że powinien być hołubiony, że powinniśmy być dumni z tego, a nie paskudzić na to. Nie zapaskudzać tego. Nawet z wyciąganiem tam Bolka, nie Bolka, różnych innych rzeczy. Ludzie się zawsze kłócą. Zawsze, jak są rewolucje, obojętnie czy są krwawe, czy nie, potem następują tarcia, rozdzielania się, polaryzacja

stanowisk i tak dalej. Ale na litość boską nie niszczy tego, bo to jest piękna wartość, która była w tamtym czasie. Sami sobie udowodniliśmy i pokazaliśmy światu. Ja jak tu przyjechałem, jak byłem w Niemczech dopiero zrozumiałem, jak to było ważne dla tych ludzi, jak oni się wpatrywali w nas. Jak jeździłem na spotkania ze związkami zawodowymi w Niemczech, pewni działacze związków zawodowych niemieckich zachowywali się jak nasi działacze CRZZ-u, nawet z postawy, dość dużej. Jakiś robotnik... jak byłem w zakładach Volkswagena w Wolfsburgu w delegacji Solidarności, tych grup Solidarności z Niemiec. Jakiś robotnik stał i mówi: „Proszę, żebyście nam opowiedzieli, jak robiliście te działania samorządowe”. A tu, ten z prezydium: „Siadać, nie mówić na ten temat!” Co mnie oburzyło i mówię: „Zaraz, zaraz, jak to nie mówić na ten temat, co to znaczy?”. I jakby to przełamaliśmy. Zresztą, to było dziwne, bo na przykład potem poszliśmy na kolację i oni nam się tak przyglądali ci Niemcy i ja mówię do tłumacza: „Spytaj ich się, dlaczego oni się tak nam przyglądają”. A on się zapytał i on mówi: „Tacy młodzi jesteście”. I to nas ubawiło bardzo. Więc uważam, że po prostu nie można tak robić. Poza tym, no to jest smutne, ale dla mnie, to jest moje zdanie, ta Solidarność dzisiaj, to nie jest tamta Solidarność. To nie jest to. To nie jest to. To jest inny garnitur ludzi i to jest właśnie to, że niektórzy oddzierają kupony do tyłu, żeby się lepiej czuć i żeby być ważniejszym. Sprawdza się smętna, polska przypadłość, że my w czasach wojny, napięcia, okupacji potrafimy się zmobilizować i wspiąć się jak najwyżej i jak najlepiej. Jak przychodzą czasy pokoju się rozsypujemy i nie potrafimy. I tak jest o wiele lepiej, bo przecież jak się popatrzy na historię Polski, to pierwszy raz, wreszcie odniosło się zwycięstwo, bez strat jakiś ogromnych, bez jakiegoś wybuchu powstania krwawego i tak dalej. Jest to bardzo ważne, dlatego że obserwuje tam tendencję, która bardzo mi się nie podoba, wśród historyków zachodnich. Zaczynanie upadku komuny od muru berlińskiego, co jest dla mnie skandalem zupełnym. Druga rzecz, Polska siedzi cicho. My powinniśmy więcej na ten temat mówić, że to od nas się zaczęło. To się nie ma czego wstydzić, bo tak było, zaczęło się od nas. Tak że, to są rzeczy, które powinno się ocalać i które powinno się jako przykład dawać. To jest analogia z tym, jaką postacią był i co mówił Jan Paweł II, a jak daleko ludzie są od tego, co on mówił i co zalecał. To też mnie uderza. To też mnie uderza. Włącznie z postawą Kościoła, gdzie mówię sobie, że... czasami mówię, że to jest jakiś grzech pychy swoisty, który opanował Kościół. I mi się to nie podoba, że w ten sposób jest podejście. Powiedziałem, że jeszcze coś przeżyłem. To było największe przeżycie jakie miałem w czasach PRL-u. W grudniu 1970 roku, jak już nie byłem na studiach i pisałem pracę dyplomową, zostałem zwolniony z pracy w czasie tak zwanej redukcji etatów towarzysza Gomułki. I w związku z tym pod koniec roku 1970, ponieważ mieszkałem u mojej babci, no i było straszne oburzenie, że młody byk jest na utrzymaniu starszej pani, bo taka była rzeczywistość. Zakręciłem się i zdobyłem dojskie do Studenckiej Spółdzielni Pracy i zacząłem pracować w stoczni. Pracowałem w Stoczni Komuny Paryskiej przy czyszczeniu statków, po remoncie, takich rzeczy. A potem skończyło to się i nie było wyjścia, trzeba było pracować i znalazłem możliwość taką, że się zatrudniłem jako tak zwany liczman. Do rezerwy portowej, do Portu w Gdyni. Polegało to na tym, że o 4:00 rano pobudka i o godzinie 6:00 rano na nabrzeżu. I liczenie towaru idącego na statek i tak dalej. Jak przyjmowano mnie do tej pracy, kierownik popatrzył na mnie, ale ja do tej pracy nie mogłem powiedzieć, że mam wyższe studia, więc ja złożyłem świadectwo maturalne. Kierownik puścił do mnie oko, mówi: „Ja wiem, o co chodzi, okej, między nami, ja pana przyjmę”. Co to było? Początek grudnia 1970 roku. We wtorek pojechałem do Gdańska, bo kolega do mnie wpadł i mówi: „Słuchaj musimy zobaczyć płonący komitet, bo to tylko raz w życiu można zobaczyć”. I pojechaliśmy do Gdańska w cały ten kocioł tam, pod komitet wojewódzki i tak dalej. I wróciłem do domu, to była środa następnego dnia. W środę towarzysz Kociołek przez radio wezwał wszystkich do pracy, czyli łącznie ze mną. Co ja myślę, że żyję, dlatego że zasnęłam. Dlatego, że byłbym w pierwszym szeregu na tym moście, bo rezerwa portowa szła

pierwsza, a stocznia szła później. Niby w tym samym czasie, ale jednak rezerwa portowa zaczęła wcześniej pracę. Ja zasnęłam. Jak ja dobiegłam do kolejki elektrycznej i pojechałam w kierunku Gdyni, dojechałam już do stacji, to się nazywała wtedy Gdynia Wzgórze Nowotki, obecnie Wzgórze Maksymiliana Kolbego. I tam po prostu przeżyłam małe piekielko, bo tam byłem świadkiem zabijania ludzi przez milicjantów, którzy strzelali do ludzi spod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Błąkałem się trochę, bo w człowieku jest coś takiego, że z jednej strony jest jakieś zainteresowanie taką sytuacją, zobaczyć, utrwalić to. Bo wiedziałem, że to jest piekielnie ważne, żeby potem móc to przekazać. I potem, jak cofnąłem się na stację kolejki elektrycznej, no to ostrzelali stację, a ponieważ miałem szkolenie wojskowe studentów, to wiedziałem, co to znaczy ten dźwięk w więzaniach dachu, więc padłem na peron. Potem przez tory uciekłem i miałem takie przeżycie, gdzie biegłem drogą, taką polną drogą, która była za torami i dalej jeszcze za płotem, za takimi krzakami były inspekty, ogrodnictwo. Dzisiaj już tego nie ma, tam osiedle jest w tej chwili. Przed tym wzgórzem, które jest przy tym Wzgórzem Kolbego dzisiaj. I przede mną biegł mały uczeń z tornistrem na plecach, gdzie mu grzechotało w środku, pewnie kredki czy inne rzeczy. I stara babcia z chlebem, z ceratową torbą taką. Jak biegliliśmy tą ścieżką, znaczy pół-biegliliśmy, w ciągu to było paru sekund, nagle nad nami siadł helikopter. On siadł tak nisko, że po prostu to człowiek czuł drżenie od tego śmigła, od tego wszystkiego. A wcześniej jak w tłumie byłem, to słyszałem ludzie mówili: „Strzelają z helikoptera”. No więc chodu. Uciekaliśmy. Ta bestia nad nami siedziała. Ja w pewnym momencie podniosłem głowę do góry i zobaczyłem twarz człowieka w hełmie, wszystko. Tak nisko on był. Ale no co wtedy, człowiek myśli, instynkt mówi: „Wiać”. I pewnym momencie poczułem uderzenie w plecy i myślałem: „No tak, dostałem”. Co się potem okazało, była to świeca z gazem, która trafiła mnie w plecy, odbiła się jeszcze od pięty, jak biegłem. Wtedy instynkt mi podpowiedział coś takiego, że gwałtownie trzeba skręcić. I co zrobiłem, że tę babcie pchnąłem w krzaki z boku, tego chłopaka wzięłem pod siebie i tak we trójkę żeśmy zalegli po prostu w tych krzakach. I ten helikopter poleciał dalej. I jak wstałem, poprosiłem tę babcie, żeby zaopiekowała się tym chłopakiem, przesadziłem ich przez płot i mówię: „Idźcie tam do ogrodnika i przeczekajcie”. Tym bardziej, że również wcześniej na ulicy dowiedziałem się, że zrobili ścieżkę zdrowia dla dzieci ze szkoły podstawowej w Gdyni, tam przy Wzgórzem Nowotki. Pałowali dzieci. Bo byli rozbastwieni kompletnie. Na przykład, jak widziałem ich na moście w Gdańsku, oddział ZOMO stojący, to też widok niezapomniany, bo oficer nimi dowodzący miał tak dzikie oczy, że już potem zrozumiałem, że jest na narkotykach. Trzymał w ręku pałę i robił cały czas tak. Z nerwów, a oni nieruchomo stali. Zresztą była sytuacja anegdotyczna, bo przede mną znowu szła jakaś bardzo stara pani, taka ubrana na czarno, też z jakąś torbą ceratową, bo wtedy się nosiło torby ceratowe. Taka Baba Jaga można powiedzieć z wyglądu. I ona i tylko ja. I przez ten most błędnie idziemy. Z tyłu ten płonący komitet. Stoi ten oddział, ja struchlałem, mówię, nie będę się cofał, no muszę przejść. Co by nie było, cisza, ani słowa. I nagle ta babcia idąca przede mną staje i pokazuje ręką na komitet i mówi: „Patrzta, jak się wasz burdel pali!”. Ja struchlałem, ja myślę, to już jest koniec, to jest po nas. W ogóle nie zareagowali. Ona przeszła i ja przeszedłem. Ale to w takich największych napięciach zdarzają się takie anegdotyczne sytuacje. No i potem... dlaczego to opowiadam, bo to świadczy o tamtym czasie, grudnia 1970 roku. Poszedłem dalej na piechotę, no bo komunikacja już nie chodziła. Wyszedłem koło mostu, koło Gdynia Redłowo. Tam zobaczyłem stojący TOPAZ wojskowy i taka scena, która mi utkwiła, to jest scena filmowa, której nie zapomnę. Jest chłodno, bo to nie była zima ostra, ale wilgotna, jak to na wybrzeżu. Stoi kobieta w kapciach na boscie nogi i podaje żołnierzowi zupę i łyżkę. Takiemu biednemu, zziębniętemu chłopakowi, przerażonemu, który nie wie co się dzieje. Dostał rozkaz: „Niemcy zajmują stocznie, bronić, rozwalać”. I co dla mnie było niezapomniane, że jak przychodziłem koło nich, to tak, wszystko odbyło się bez słowa. Ona podeszła, podała miskę, on od niej ode-

brał, ani dziękuje, ani nic. Zaczął tę zupę jeść, w milczeniu stali. To obrazek dla mnie niesamowity zupełnie. No i potem wróciłem do domu, doszedłem do Sopotu piechotą. Poszedłem na uczelnię do swojej dziewczyny, to była Wyższa Szkoła Ekonomiczna w Sopocie. Aha i jeszcze po drodze przy Kamiennym Potoku w Sopocie zastałem scenę, jak stoją czołgi, topazy i kobiety leżą na jezdni. Tam było osiedle stoczniowe. Kobiety się położyły, żeby nie dopuścić ich do stoczni. I ten oficer błagał, żeby one wstały, i żeby ich przepuścić. I wchodzę na tę uczelnię, a tu radość. Wszyscy skaczą, całują się, ściskają. Ja pierwszego z brzegu złapałem człowieka, ja mówię: „Co tu się dzieje?”. „Stary, wolne dostaliśmy! Zwolnili nas do domu!”. I to było, jak chłapnięcie w twarz. Ja potem opowiadałem mojej dziewczynie, co się stało i tak dalej. Wróciłem, odwoziłem ją do domu, bo ona mieszkała w Gdańsku Wrzeszczu. Wróciłem do Sopotu, przyszedłem do domu, ojciec siedział. No i zacząłem ojcu opowiadać, co widziałem. A ojciec w tym czasie pracował w Stoczni Gdańskiej. I rano ich wypuścili, jak ich otoczyli czołgami. To mnie ojciec z kolei opowiadał, który był odważnym człowiekiem, po wojnie i tak dalej. Powiedział też jedną bardzo charakterystyczną rzecz. Mówi: „Słuchaj, co oni zrobili, że oni wypuścili nas wszystkich o tym samym czasie? 3 tysiące ludzi stało na tym samym czasie na peronie. Wokół oni stali z bronią w nas wycelowaną i czołgi dookoła. Podjechała jedna kolejka, która była bardzo długa i druga. Tak to zrobili, że wymietli peron. Wszystkich zapakowali do tej kolejki, która jechała w dwie strony. Jedną tylko stację do Gdańska z Gdańska Stoczni. Ale ojciec mówi: „Wiesz, co ja myślałem w tym momencie?”. Była zupełna cisza. 3 tysiące ludzi w zupełnej ciszy. Ci żołnierze też. Ale mówię, gdyby był prowokator, wystarczyło, żeby strzelił z torby i masakra. Mówi: „Wtedy poczułem lęk. Wtedy poczułem lęk”. To mi z kolei ojciec się zrewanżował taką opowieścią. Tak że ten grudzień mi się wrył w pamięć. Jedno mogę powiedzieć, że pół roku po grudniu, jak słyszałem helikopter, to uciekałem do bramy. To było silniejsze ode mnie. To było tak zapamiętane przez mój organizm, przez słuch i tak dalej, że sam się sobie dziwiłem, co ja robię, ale po prostu był to odruch. Odruch, jak leciał helikopter, wysoko mógł lecieć, ale jak słyszałem ten warkot, to pchało mnie gdzieś do jakiegoś schronienia. A potem jeszcze następnego dnia, bo to jeszcze jest epilog tego. Następnego dnia, miałem długie włosy wtedy, do ramion, brodę, wąsy. Miałem legitymację studencką w kieszeni kurtki. Pojechałem ze swoją dziewczyną pokazać jej Gdynię. Bo powiedziałem, słuchaj musisz to zobaczyć, co te dranie zrobiły. I jak byliśmy pod Miejską Radą Narodową w Gdyni, to jeszcze krew zmywali z chodnika. To jeszcze zastaliśmy. To była gdzieś 9:00 rano, jak tam pojechaliśmy. I podchodzimy, idziemy do mojego wydziału, bo w Gdyni miałem Wydział Biologii i Nauk o Ziemi, przeniesiony z Gdańska. I nagle wyłania się przyjemniaczek w tak zwanym „kompocie”, jak się potem mówiło, na głowie. I zatrzymuje nas i mówi: „Poproszę dokumenty”. I ja sięgam ręką do kieszeni i nagle drętwieję. Uznaję sobie, że mam przepustkę stoczniową w środku, w tej legitymacji studenckiej. Ja do dzisiaj nie wiem, jak to zrobiłem, że wyjąłem samą legitymację. Musiałem jakoś palcem środkowym i wyjąłem tę legitymację. A tak on jeszcze był, jak to się mówi odrapany na pysku, czyli brał udział w jakiejś zadymie. Otworzył tę legitymację i to było takie uderzenie w twarz. „A - mówi - student, jak miło! Dobrze się zachowujecie”. To było dla mnie coś nieprawdopodobnego, to była dla mnie obraza po prostu. No i tę legitymację złożył, ona też miała legitymację. „Studenci - mówi - w porządku i w ogóle, dobra, ale ja z panem chcę porozmawiać”. Moja dziewczyna się we mnie wczepiła. „Nie - mówi - nigdzie go nie puszczę!” „Ja pani obiecuję, że mu nic nie zrobię”. No i wziął mnie na bok i mówi: „Zestrzyż włosy”. Potem się dowiedziałem, bo jednego mojego znajomego, to trafiło, że go ostrzygli na ulicy. Po prostu wtedy łapali i cięli równo, ale nawet nie cięli, wyrwali żywcem. Takie się rzeczy wtedy zdarzały w Gdańsku lub w Gdyni. I pamiętam, że poszliśmy do moich znajomych, odetchnąć, bo to było takie wyrwanie się z łap. Szczęście, że ten jeden, i że akurat jeszcze jakiś był układny. I potem poszliśmy piechotą do Dworca Głównego w Gdyni. I były patrole już na mieście. Jak weszliśmy

na Dworzec Główny w Gdyni, to nagle poczułem jak moja dziewczyna wpija paznokcie mi w rękę, w ramię i mówi: „Nie patrz się, nie patrz się, idź”. Ja tylko kątem oka zobaczyłem trzech zomowców, którzy jak na komendę, jak mnie zobaczyli, bo długie włosy, broda, włosy, obrócili się od razu. Ale gdybym był sam, to by było po mnie. Ponieważ byłem z nią, to jakoś odpuścili. Pamiętam, że jakoś doszliśmy do kolejki elektrycznej, wsiedliśmy, drzwi się zamknęły i wtedy odetchnęliśmy. Ale tu była taka atmosfera, takie rzeczy się wtedy działy.

Zofia Kunert: Ale o tej ścieżce zdrowia dla dzieci ze szkoły podstawowej, to przyznam, że pierwszy raz od pana usłyszałam.

Krzysztof Kasprzyk: Ja słyszałem to wcześniej od ludzi tam, na miejscu. Nie biorę za to odpowiedzialności, bo ja tego nie widziałem, ja tylko mówię, co ludzie mówili oburzeni, że nawet dzieci tłuką, że zrobili ścieżkę zdrowia. Poznałem na przykład... brat mojej koleżanki został w nocy z Sopotu przywieziony do wstawiania szyb w Miejskiej Radzie Narodowej w Gdyni. I opowiadał mi o tym, jak słyszał ludzi katowanych w piwnicy na dole. To na przykład mi opowiadał. Tak że, to było coś co, myślę, że ten Grudzień to było takie piętno na Wybrzeżu, które zalegało i czekało na wypełnienie się. I się 10 lat później wypełniło. Ten 1 maja pamiętam w 1971 roku niesamowity. Z tym pochyleniem sztandaru przed trybuną, z tym złożeniem wieńców pod bramą i tak dalej. To były takie przeżycia, które mogę powiedzieć, że z czasów PRL-u, tylko dwóch rzeczy nie zaznałem, stanu wojennego i potem upadku komuny, 1989 roku.

Zofia Kunert: A czy teraz uważa się pan za solidarnościowca?

Krzysztof Kasprzyk: Trudno to powiedzieć, no bo jak. No bo tak, faktycznie, w sposób jakby... Jakby to ująć? Posiadający legitymację, będący członkiem Solidarności, nigdy nie byłem. Byłem w tym jako osoba wspomagająca w strajku. Potem mi powiedzieli, że będą miał posadę w Solidarności albo tam w prasie, albo gdzieś i tak dalej. Więc jakby w tym sensie nie byłem związany. Jako ruch społeczny i jako coś, co było wielkie, symboliczne znaczenie miało, bez wątpienia. Całym sercem za tym byłem. Dlatego podjąłem taką decyzję, nie chodzić do pracy, chodzić do styczni. Zostać z tymi ludźmi. Obojętnie, co by nie było, bo oczywiście były szeptanki i pewne takie, lekka panika, że będzie desant na stocznię. Takie plotki były rozpuszczane. Ale ludzie się zachowywali wspaniale, wspaniale naprawdę. Też taka anegdotyczna sprawa. Pod bramą stoczni, jeszcze na zewnątrz stoję i kobieta koło mnie stoi i nagle mówi do mnie: „Proszę pana, co tu się dzieje?”. Ja mówię: „Jak to co się dzieje, strajk proszę pani. Wreszcie mają dość ludzie i strajk”. „Proszę pana - mówi - tu nie chodzi o strajk, ale co się z moim starym dzieje? Nałóg. On rano musiał walnąć sto, jak wychodził do pracy”. Ja mówię: „Ale nie rozumiem, o co chodzi?”. „Proszę pana, ja w siatce przyniosłam mu jedzenie i w butelce od oranżady gorzałkę przyniosłam. I mówię do niego, słuchaj, tu masz jedzenie, a w tej butelce masz, wiesz co. A on do mnie mówi: Spadaj!”. Mówi: „Proszę pana, co tu się dzieje?” No bo wtedy było „Nie pić”. Koniec. Nawet jak ktoś miał nałóg, na sucho, nie dać się sprowokować, potem się napijemy, jak się uda, jak zrobimy swoje, jak założymy te niezależne związki zawodowe. Tak że to były takie rzeczy pokazujące, co się dzieje. Trudno powiedzieć... przede wszystkim jestem sobą, to zawsze tak mówię. Mam swoją indywidualność, swoje podejście do życia. Jestem związany z tamtym czasem, tej legendy Solidarności z tamtego czasu, na pewno. Emocjonalnie do dzisiaj. Jestem bardzo zadowolony, że w tym brałem udział, że się zdecydowałem. Czuję się z tego powodu dumny i zaszczycony po prostu, bez żadnej fałszywej skromności. Cieszę się też z tego, że akurat wyszła

mnie ta piosenka dla córki, która chwyciła ludzi. Na przykład okazało się, że to... Ja to zrobiłem dla siebie jakby, dla niej, a nagle to poszło w świat. Na przykład jaki szok był dla mnie, jak nagle na YouTube znajduję, że na festiwalu w Bratysławie w roku chyba 1987 Joan Baez śpiewa moją piosenkę po polsku! Nauczyła się tekstu. I śpiewa Joan Baez, która dla mnie była „tu, kimś!” z czasów lat 60., okres muzyki rockowej, hippie, movement i te wszystkie rzeczy, to było coś dla mnie, była to wielka postać. Tak że, to było takie miłe zaskoczenie. Tak że no, trudno mi powiedzieć. Z dzisiejszym tym związkiem zawodowym nie mam nic wspólnego, bo nie mogę mieć, bo jestem tutaj. Tak samo, jak nie mogę się stąd zbytnio wymądrzać na temat tego, co tam się dzieje. Jakieś, pewne umiarkowanie trzeba zachować w tym. Tak że chyba jednak tak, jak powiedziałem, że związany jestem z tą legendą Solidarności, z tymi początkami, z powstaniem tego znaku Solidarność, który na moich oczach powstawał. Z Jurkiem jestem w przyjaźni do dziś, on mieszka w Hiszpanii, w zeszłym roku go odwiedziłem. Zawsze się popieramy, zawsze się wspieramy wzajemnie, tak że jest to taka fajna przyjaźń. Już żeśmy się wcześniej znali. Tak że, właściwie to są, to są... Najważniejsze jest chyba być sobą, tak myślę. Żeby się w głowie nie przewróciło. Stało się, człowiek się zaplątał w coś takiego, ale dalej idzie jakby swoją... Dobrze, już wiem, bo już mnie ktoś o to pytał. Powiedziałem kiedyś tak i to podtrzymuję, że taki byłem przed Solidarnością, w trakcie Solidarności i taki jestem po Solidarności, to jest jako zamknięcie.